Lwów. 15. Grudnia **№ 149.** Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po **1 ½** kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

VII.

Walne zgromadzenie.

(Ciąg dalszy).

Dziwne było wzruszenie starca; czy to chwilowe usposobienie, czy może przypomnienie jakie, rozbudzone dotknięciem się młodej głowy, oczy starca nagle zabłysły nie życiem, nie wzrokiem, ale dwoma łzami, które pomału po nieruchomych oczach ściekły jakby po zimnym kamieniu.

I młody hucuł zadrzał mimowolnie. Młode i czułe zapewne serce jego uległo chwilowemu wzruszeniu, wynikłemu z całej postawy starca, opromienionej wyrazem takiej wyższej, a szczerej rzewności, że się ledwie wstrzymać można było od łez, patrząc na tę twarz prawdziwem uczuciem uszlachetnioną.

Nawet zimnego Semena wzrok fałszywy połagodniał, a na chudych i cieńkich ustach ukazał się uśmiech, po raz pierwszy może nie szyderczy.

— Idź teraz i poczekaj za chatą na Semena! on cię zaprowadzi na nocleg!.. Ja go zaraz puszczę! wyrzekł stary.

Młody hucuł wyszedł, a król dziadów pociągał machinalnie ślepemi oczami za nim.

Po dość długiem milczeniu ozwał się do Semena głosem dawnym już prawie, głosem obojętnym.

— Pilnuj swego hucuła, bo w sercu Iwana drzy do niego nienawiść....

— Oj ten Iwan! zawołał gwałtownie Semen.... to szatan prawdziwy.... poznać w nim....

— Cicho Semenie!.. i głos jego stawał się coraz ostrzejszy, surowy prawie i groźny. Przyjdzie czas!.. bóg dozwoli że ja się doczekam!... a wtenczas każdy będzie miał podług zasług swoich.

— A o skarbie tego skąpca czy wiesz co? dodał po chwili.

— Dziś widziałem jak stary sknera jechał do pasieki i przysięgnę, że wiózł z sobą swój skarb.... Jeżeli zakopał w pasiece, to ja go znajdę....

— Nie potrzeba!... ja wiem to miejsce!... to miejsce! Semenie! i ty je znasz....

— Znam!..

— Lepszego tam nie ma!... Pilnujże teraz jak oka w głowie, by nikt się nie dotknął skarbu....

— Nikt!... jakto?....

— Nikt powtarzam!.... aż przyjdzie czas.... i raz jeszcze ja będę w tem miejscu!... i będzie ten! ten!...

Tu głos króla dziadów stawał się coraz gwałtowniejszy....

— Idź już! idź Semenie!... do swego Hucuła!.... dziś ciepło.... tam na strychu na świeżem sianie będzie mu dobrze.... A o skarbie nikomu!... nikomu ani słowa!...

— I jemu nie?..

— Nikomu! Semenie! ty mnie znasz, ja wiem co mówię.

Semen wyszedł, a król dziadów spuścił głowę na piersi i tak całą noc przesiedział. Niewiedzieć czy spał czy marzył.

VIII.

Stary ekonom.

Mówiliśmy o drugiej chacie niedaleko chaty Wasyla. Obie były własnością króla dziadów, u którego w drugiej chacie mieszkał komornem, wspomniany już nieraz w tej powieści Goździkiewicz, były ekonom w Wyżyńcach. Do tej chaty przeniesiemy się nazajutrz po zdarzeniach, w poprzednim rozdziele opisanych.

Wnętrza chaty bliżej opisywać nie będziemy, bo jak każda inna zwykle, składała się z jednej izby i komory, z tym dodatkiem jeno, że i na drugiej stronie była takaż sama izba z komorą, a w środkowej sieni ulepiono rodzaj skromnej kuchenki, co wszystko razem przy większych nieco oknach nadawało tej chacie pozór dworka niby. Było jednakże w tej chacie-dworku coś jeszcze, co przy pierwszym wstępie każdego uderzyć musiało. Po wszystkich sprzętach, więcej jak skromnych, chociaż świadczących kształtami swemi o dawniejszym lepszym bycie mieszkańców chaty, poznać było dzisiejsze ubóstwo; a przecież uderzała szczególna czystość i porządek, które tak rzadko u nas przy ubóstwie zdybać można. Było jak to powiadają, ubogo ale chędogo. Na ścianach czysto pobielonych, na podłodze porządnie zamiecionej, w każdym kącie znać było gospodarną i troskliwą rękę. Porządniejsze nieco sprzęciki pierwszej izby, składające się z skromnej kanapki

dreliszkowej, komodki i szafki, prosto lakierowanych, chociaż dobrze już stare i zużyte, świeciły się prawdziwie czystością. Jedynym pierwszej izby i całej podobno chaty zbytkiem był zapylony już przez czas sztych, przedstawiający mężczyznę w krakuskiej siermiędze i takiejż czapce z oczami i pałaszem w rękach ku niebu wzniesionych. Pod tym obrazkiem wisiały na ścianie w ładnym porządku symetrycznym ułożone, stary jakiś pałasz na krzyż z ładownicą po jednej stronie, a fuzyjka nieszczególna z torbą myśliwską po drugiej stronie. W samym środku między temi trofejami myśliwsko - wojskowemi wisiał obrazek na blasze malowany, po którego barwach mocno już pościeranych, raczej domyślić niżeli poznać można było wizerunek przenajświętszej panny.

To wszystko razem stanowiło całe bogactwo, a zarazem całe szczęście pana Jana Goździkiewicza, bo tam mieściły się wszystkie jego pamiątki, i lat młodszych, gdy na krótką, wymknął się wojaczkę, i lat starszych, gdy co święto i w niedzielę, wolną od zajęć gospodarskich chwilę przepędził w kniei, słuchając zaczajony za dębem z fuzyjką w ręku, na miłą przygrywkę dwóch piesków, rozchodzącą się hucznie i wesoło po rannej rosie. Sztychowany portret wojownika w siermiędze i blaszaną matką boską miał od ojca jeszcze, który czas jakiś także z nieboszczykiem panem jeszcze wojował, a wizerunek matki boskiej nosił na piersiach.

— Hej! hej! inne to były czasy! rozpowiadał często, a passjami rozpowiadać lubiał pan Jan Goździkiewicz. A w rozpowiadaniach swoich najpocieszniej mieszał i czasy Napoleona i poźniejsze, ubierając też wszystkie fakta słyszane czy widziane, w mniej sławne, ale niemniej miłe i zabawne zdarzenia łowieckie, których zbiór posiadał rzęsisty. Do nich miał pamięć ogromną, którą przewyższała wszakże jego wyobraźnia. Poczciwy z kościami człowiek, ale w faktach wojennych i myśliwskich lubiał zmyślać sobie, chociaż zawsze twierdził:

— Kłamstwem brzydzę się okropnie. U mnie kłamca to gorzej złodzieja.

Goździkiewicz, gdyby nie za szczupłe już było miejsce, jakie dać mu możemy w naszej powieści, wartby obszerniejszego obrazku. On był typem prawdziwym ekonomów, ale nie takich, jakich sobie każdy z dawniejszemi pokoleniami mało obznajomiony wyobraża, gdy tę nazwę usłyszy. Pod ekonomem każdy prawie wyobraża sobie prostego rubachę, mającego rękę do batoga, gębę do hukania, łajania i łykania, a dowcip do okradania pana swego, a oczy do pielęgnowania własnego dobytku, którego dobre zwykle wyglądanie weszło u nas prawie w przysłowie o koniach, krówkach i świnkach ekonomskich. Na nieszczęście trafia się to i bardzo często trafia; młodsze pokolenie innych nie znało ekonomów. Ale my starsi, co jeszcze cokolwiek dawniejsze pamiętamy czasy, powinniśmy dla przyszłych pokoleń zachować obrazek prawdziwego ekonoma polskiego, jak oni wszyscy prawie byli dawniej na naszej żyźnej ziemi, obrazek tem ciekawszy, że po przemianie stosunków włościańskich u nas, ekonom właściwy znikł już z naszej ziemi, a stary ekonom polski stanie się wnet mytem nikomu nie zrozumianym.

Takim to ekonomem dawnych czasów był ostatni może Jan Goździkiewicz, do którego ubogiej zaszliśmy chaty.

Jego dziad, jeżeli nawet nie pradziad, i ojciec byli także ekonomami, i zawsze w rodzinie Wyżyńskich, której zawsze wiernie, chociaż nie bez restrykcjów ekonomskich może służyli, biorąc najczęściej z dawniejszego fraucymeru, a później z garderoby swojego państwa żony dla siebie, a matki dla swych synów. I takiemi po większej części bywali dawniejsi wszyscy ekonomowi nasi. Trzymali się zawsze jednego skarbu, jednej rodziny i przywiązywali się zawsze do panów swoich, do ich majątku, a nawet do chłopków podwładnych całem sercem. Tym sposobem łączyły się u nas niższe ogniwa społeczne w kapotach i kurtach, do wyższych w kontuszach i deljach, w wielki łańcuch patriarchalnej niejako hierarchji, który póki trwał silnie, opasywał i trzymał ciało nasze społeczne.

O ile sięgała tradycja rodziny Goździkiewiczów, dziad już ekonomował u pana kasztelana, dziada dzisiejszych panów Wyżyńskich. Kasztelanowa i ekonomowa jednej nocy powiły synów uradowanym swym małżonkom. O tem zdarzeniu rodzinnem wielkopomnej pamięci, poczciwy pan Jan niestworzone rozpowiadał rzeczy, urozmaicone coraz nowszemi szczegółami. To pewna, że kasztelanostwo trzymali do chrztu małego ekonomka, a kasztelanic mocno go polubił, a nawet nieraz małego Tomasza, obdarzonego sprytem, polityką i cierpliwością ekonomską doskonale poczubił. Później nawet wziął go z sobą, gdy jechał do Warszawy, gdzie go jako panicza wielkich nadziei do konwiktu *scholarum pijarum* jak to mawiano, oddali. Było to jakoś w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Zaczęły się czasy niespokojne, poformowały się różne partje. Pan Tomasz Goździkiewicz trzymał się naturalnie partji kasztelanica, a że ta była jakoś najpoczciwsza, więc i pan Tomasz miał sposobność powojować nieco pod onym wojownikiem w siermiędze, o którym gdy później gadał kiedy, gdyby nawet na łanie w obec chłopców, rzewnie musiał spłakać się łzami.

Nie długo trwała jego wojaczka, bo go doszła wiadomość, że stary ojciec umarł, a więc z obowiązku musiał zamienić oręż na harap ekonomski, i wracać co prędzej do osieroconej posady ekonoma w Wyżyńcach, chociaż mógł mieć nadzieję zostania oficerem. Ale dawniej ina-

czej rozumiano zbowiązek sumienia, i pan Tomasz został ekonomem. Kasztelanic, a dobry był to człowiek, chociaż jak wiemy nie do rzeczy się ożenił, lubił swego ekonoma, i nigdy mu nie zapomniał jego poświęceń, dla kraju i dla niego. A chcąc się wywdzięczyć jak najszlachetniej, postarał się dla Goździkiewicza o przyznanie szlachectwa, co w onym czasie łatwo przychodziło, bo trzeba było tylko poświadczenia którego z Wojewodów pozostałych w kraju. Kasztelanic pojechał do Krakowa, upijal się dwa razy na dzień przez całe ośm dni z panem Wojewodą C. i uzyskał poświadczenie, jako pan Tomasz Goździkiewicz do prawdziwej należy szlachty herbu Lubicz. Tym sposobem choć zawsze ekonom, pan Tomasz został swego pana niejako bratem, bo bratem szlachcicem. I tym to sposobem w onym łańcuchu społecznym, kapota lub kurta mogły się przysunąć do delii lub kontusza.

Tomasz Goździkiewicz żył długo i miał mnóstwo dzieci, co także bywało w zwyczaju u ekonomów naszych, u których zwykle co rok to prorok. Ale to im zupełnie nie zawadzało, bo czuwała nad ekonomami zawsze opatrzność uosobniona w postaci pańskiej łaski. I żeby niewiem ile ich tam było, ten poszedł za pisarza do dóbr na Wołyniu, ten na leśniczego do kuzynka wojewodzica na Litwę, tamta do pani siostry jenerałowej na pannę respektową, tamtę wydano na Ukrainę za pana marszałka dworu pani Podkomorzyny, kochanej stryjanki ciotecznej, i jakoś to było. Pan Jan najstarszy, a zatem następca natus swego ojca, ciągle był przy ojcu, a nawet razu jednego, a był jak sam opowiadał małym bębnem jeszcze, ojciec wziął go z sobą na wóz i powiózł na Podole. Było to zawsze sekretem nigdy nie odkrytym, czy tylko z własnej woli, czy może z polecenia pańskiego. zaczepił tam o jakąś ruchawkę, i gdzieśtam puknąwszy a nie źle razy kilka, powiedział do małego Jasia:

— Otóż! żebyś widział ty s.... jak się to strzela na wojnie....

— To się ludzi zabija!.... tatku? zapytał naiwny chłopiec.

— A ty myślał ośle!... odrzekł ojciec, i dla lepszej pamiątki syna pociągnął za uszy.

W parę miesięcy potem, a było to jakoś w końcu r. 1809, pan Tomasz Goździkiewicz płakał jak bóbr, idąc za trumną swego pana. Starszy panicz gdzieś tam uganiał młodym chłopcem jeszcze za onemi orlami, co to, jak epicznie opowiadał pan Jan:

— Uganiały się po całym świecie jak wrony w jesieni.

Młodszego panicza imość zabrała z sobą do Wiednia, a stary Goździkiewicz został sam jeden w Wyżyńcach; ale już mu do śmierci, chociaż żył jeszcze lat przeszło dwadzieścia, nie wrócił dawny dobry humor, bo stary polski ekonom kochał swoich panów i dobrodziejów jakby własnych krewnych, a ich zaszczyty i majątek radowały go jakby własne; prawda, że ten majątek doskonale ich utrzymywał, bo stary ekonom, jeżeli pilnował dobra pańskiego, to głównie na przeciw cudzych, a jużciż siebie uważając za swojaka, mógł sam z niego korzystać. Lecz było to najczęściej korzystanie zachowujące się w granicach sumiennych, i panom lepiej się przy nim działo, niżeli później przy szumnych zabiegach późniejszych mocno edukowanych komisarzów.

Jakże mógł być wesoły biedny Tomasz Goździkiewicz, kiedy nikogo z panów swoich na oczy nie widział, a co roku wiosek ubywało, a przybywało coraz nowych figur, to plenipotentów, to komisarzów, to sekwestratorów.

A choć się później młodszy panicz pojawił, ba i starszy powrócił, obaj mieszkali w mieście, a stary ekonom chodził już tylko osołowiały na cmentarz, szukać sobie zapewne miejsca niedaleko od grobu pańskiego.

Pan Jan tymczasem przyuczał się jak mógł do gospodarki, i najczęściej starego wyręczał. Nagle znikł jak kamfora. Stary pan Tomasz zgryzł się i przestraszył. A poźniej uśmiechnął się; snać się co dowiedział lub domyślał.

Cóż to była za zazdrość, i co za łzy razem, gdy nagle przyszedł list datowany gdzieś tam z daleka w którym pan Jan pamiętny na nauki ojcowskie, pisał do niego nader lakonicznie.

— Już teraz wiem, tatku, jak to się strzela na wojnie. Jestem u strzelców.

Stary bez czapki wybiegł z listem w ręku. Lecz nie było komu listu pokazać w całych Wyżyńcach. Podumał chwilę i pobiegł na cmentarz. Spłakał się na grobie swego pana, co go zrobił szlachcicem. Zaziębił się starowina wróciwszy do domu, dostał plewry i umarł. To szczęście, że pan Jan niemógł się dowiedzieć szybko o śmierci ojcowskiej, bo byłby zapewne wszystko porzucił, by powrócić do obowiązku ekonomskiego. I drudzy co nadzwoniwszy się pałaszami po rozmaitych brukach popowracali przed czasem do domu, byliby naszego Goździkiewicza okrzyczeli za podobnego sobie bohatyra.

Nasz pan Jan, gdy się dowiedział o śmierci ojca, nie było już i tak co robić, a nareszcie i czas było pomyśleć o nodze, w której jakaś niepoczciwa zagrzęzła kulka.

Posadę swoją zastał niezajętą, dzięki majorowi, który ją dla niego mimo niewielkiej ochoty pana Ignacego potrafił zachować. Pan Ignacy tego ekonomczukowi nigdy nie mógł zapomnieć, z jak szczególnie poufałą wesołością młody chłopiec wybiegł naprzeciw panicza swego, gdy ten raz zjechał do dóbr swoich. A chociaż ta cała poufała wesołość skończyła się na uchwyceniu go za kolana, było w tem coś, coś tak nieprzyzwoitego, a je ne sais quoi, gburowatego, że uczuł od niego odrazę, którą nie zmniejszył zupełnie wybryk heroiczny ekonoma,

jak to z uśmiechem nazywał, zupełnie do ekonoma niestosowny.

Pan Jan nie zważał na częste dąsy pana Ignacego, i rozpocząwszy swoję funkcją ekonomską od ożenienia się z jakąś kuzynką rodziny Goździkiewiczów, wstąpił zupełnie w ślady ojca i dziada. Jakoż był rzeczywiście typem starego ekonoma polskiego.

Co do rolniczych wiadomości wierzył jak w ewanielią w starą rutynę gospodarską, i chociaż musiał przyjąć wiele nowych metod co do zmiany pól, nigdy to za dobre nie uznawał.

— Nieboszczyk mój dziad, i nieboszczyk mój ojciec nie znali tego różnopolowego gospodarstwa, i dobrze się działo. Kasztelan był kasztelanem, i to bogatym kasztelanem; a dziś pan mój jest hrabią, Niżyńce diabli wzięli, a na Wyżyńcach są długi. Ta i co!... pan goły, i ekonom goły.

— Gnój panie! to grunt! dodawał. Ta i co!.,. trzeba tylko mieć oko i wszystko w gębie!... Pilnować wszystkiego okiem, a wykrzyczeć na mudia gębą. To też u mnie całe gospodarstwo w gębie, i pług w gębie, i brona w gębie, i gnój w gębie. Ta i co!

Po gnoju i gębie, którą rzeczywiście cudów dokazywał, bo jak huknął na jednym końcu wsi, to już chłopi wychodzili z drugiego końca na pańszczyznę, najwięcej wierzył w harapnik, który jakby buławę odziedziczył po swych przodkach. Co do tego, daremnie by to obwijać w bawełnę. Stary ekonom polski nie może obejść się bez harapnika. To jego grzech rodowy, z krwi zda się ekonomskiej pochodzący.

— Już ja to próbował inaczej. Nic nie pomoże! Żadna inna wymowa nie trafi do mudia.

Chłop u starego ekonoma nazywa się zawsze mudiem.

— Chyba jeszcze wódka wymoże co na nim! dodawał z uśmiechem zupełnej pewności i zadowolnienia.

Ale tego mudia pan Jan kochał po swojemu. Nie pardonował mu na polu przy robocie żadnej opieszałości. W tym względzie miał oko naczelnego wodza przy przeglądzie. Każdą nieregularność postrzegł, i pomknąwszy od prawego na koniu skakał. Naturalnie nie rozumiał służby ekonomskiej inaczej, jeno na koniu.

— Ja nie nadstawnik! mawiał, puszczając dym z krótkiego cybuszka, z pewną dumą.

Dodajmy do tego, że koń był grubopłaski i silny, by nie łatwo utykał na świeżej roli, a i za chartem pomknął czasem. Przy tem miał upodobanie w klaczach głównie i to w srokatych, bo te są najwytrwalsze, mawiał.

Więc tedy przy robocie był nieubłagany na próżniaków i opieszałych, ale jak taki mudio przyszedł do niego, i zaczął się przed nim skarzyć, że mu pomorek padł na bydło, lub że mu nie urodziło, albo myszy wyjadły zboże w stożku, lub co gorzej jeszcze, że mu tam żona czy dziecię zachorowało w chacie, gotów był zaraz z szczerą radą i pomocą.

— Margosiu! wołał do żony, a daj no tam tych kropli, co to wiesz... Ta i co! najlepiej sama zanieś, bo to głupi mudio nie potrafi dać zażyć. Ale weź tam i krup trochę, bo to dziecku słabemu najlepiej zwarzyć kaszki trochę.

Za zubożałym chłopem wstawiał się do pana, wystawiając się na najgorsze przyjęcie, a jak nic nie uzyskał, to często milczkiem sam mu przyszedł w pomoc.

A brońże boże, żeby się chłop przed nim poskarzył na pana, choćby najsłuszniej; to jego szczęście, jeżeli wyszedł zelżony tylko, a nie obity. W tej mierze trzymał się prawidła swoich przodków ekonomów, którzy czuli potrzebę zachowania przyjaźnego stosunku między panem a chłopem. Stary ekonom polski, choć często zupełnie nie wykształcony, rozumiał politykę solidarności, której późniejsi zabaczyli zupełnie, siejąc naumyślnie niezgodę niedorzecznemi konszachtami z chłopem, a zausznictwem w dworze. I co posieli to zebrali... kąkol biedy dla siebie.

Pan Jan w takich razach stawał się mowcą, kaznodzieją prawdziwym, gdy wywijając ręką a machając harapnikiem, tłumaczył skarzącym się chłopom, że pan nic nie winien.

— Czy wy wiecie chamy! krzyczał czerwieniejąc się odgniewu i zapału. Pan jest zawsze ojcem; ta i co!.. A wy jego dzieci, a choć pańska ręka spadnie na którego z was, to milczyć, i pocałować, jak dzieci ojca. Tak było za waszych i naszych ojców, i dobrze było. A pamiętacie!...

I dopiero poczciwy ekonom nabajał im jakieś duby świeżo zaimprowizowane, w których póty przekręcał znajome jakieś zdarzenie, do czego przytoczył inne zdarzenia z czasu nieboszczyków panów i ekonomów, póki chłopi skrobiąc się w głowy nie wyrzekli:

— Ta że to prawda! szo wy każecie! Ale przecie ktoś winien!...

To była pana Jana strona najmocniejsza. To mu najłatwiej przychodziło. Winnego zawsze znalazł, a choćby samego djabla.

To też chłopi mimo krzyku, szturkańców i operacji harapnikowych szczerze przywiązani byli do swego ekonoma, i gdy się wynosił boso prawie i goło z Wyżyniec, wszyscy chłopi płakali, a co więcej, sami mu odwieźli jego skromne sprzęty, a baby szły za wozami niosąc i pieszcząc małe dzieci swego ekonoma. Nie było tygodnia, żeby chłop lub baba Niżynieccy nie przyszli do niego, i pozdrowiwszy go Bogiem, nie obdarzyli jakim datkiem choć skromnym, ale z serca danym, czy to osełką masła, czy plaskanką sera, czy kopą jaj a nawet jakim kogucikiem lub kureczką.

Jeszcze jednej dotknąć musimy, a najdraźliwszej kwestji, to jest, co się tycze moralności ekonomskiej. I w tym względzie pan Jan trzymał się swych przodków ekonomów.

Majątku pańskiego pilnował jak swego, i chyba cudem jakim udać się mogła kradzież jaka w stodole, na gumnie, lub w polu, bo jakby miał sto oczów, sto rąk i sto nóg, pan Jan od dnia do dnia jednej prawie i tej samej chwili wszystko zobaczył, wszędzie był, i winowajcę, jeżeli mu się nadarzył jaki, własnemi schwytał i skarał palcami. Nieraz, jakby go co tknęło przez sen, wybiegł z domu, i piorunem padł na gumno, do obory, lub popędził na sroczce, tak się zwała klacz jego ulubiona, w pole, na łąkę, na sianożęć, i jeżeli tylko było co odkryć lub schwytać, odkrył i schwytał pewnie.

Ale pilnując majątku pańskiego jak swego, nic dziwnego, że w niektórych względach uważał ten majątek za swój. Nie ażeby po prostu powiedziawszy kradł, a broń Boże!... pańskiej obory, gumna, stodoły, nie dotknął się, ale na to nie było ratunku, żeby jego obory nie chowała się pańskiem sianem, słomą, lnb nawet ziarnem.

— Ta i co?... ja nie dla siebie biorę, ale dla tych biednych boskich stworzeń, które mi Bóg dał.

Albo co do obrobienia jego ogrodu? oczewisty byłby grzech najmować robotnika mając pańszczyznę. To też choć pewnie i panu najsumienniej dopilnował, niemniej przeto pańską pańszczyzną miał zawsze ogród i swój dodany sobie kawałek pola, tak obrobione, że mógłby karczochy sadzić.

Ale za to stary ekonom nie wdawał się w konszachty z arendarzem, prócz chyba wódeczki, którą mu arendarz sam przynosił, i którą stary ekonom płacił zawsze jakiemiś mglistemi przyrzeczeniami jakiegoś wstawienia się u dziedzica.

Toż samo i z obcemi kupcami. Niechby mu który zaproponował jakie szachrajstwo, wyszedłby gorzej od Zabłockiego, bo temu źle poszło po mydle, a tamtemu poszłoby najgorzej po skórze.

I z tego to powodu nawet postradał pan Jan miejsce swoje, zarobione zda się własnemi i przodków zasługami. Żydów w ogóle nie lubił.

— Oni Chrystusa umęczyli! mawiał w takim razie; i jeszcze go w ostatniej chwili na trunku oszukali. Naszą szlachtę poczciwą krzyżują codzień i męczą wyciskając z nich ostatnią krew, a naszego mudia tumanią lichą wódką.

C. d. n.

Elegia Ernsta *)

Słowa wpisane do imionnika N. Biernackiego po odegraniu tejże Elegii.

Jam ją tak kochał! a gdym po świecie
Roznosił sławę mego imienia,
Ona usnęła jak małe dziecię,
Kiedy usłyszy anielskie pienia;
O ją anieli tylko uspili,
A wyście świece jej zapalili...

Na srebrnym puchu oparła głowę,
A w ręku krzyżyk i lilja biała,
I otworzyła usta różowe,
Jak gdyby zemną witać się chciała!...
Jam ją przed ołtarz chciał wieść w tej chwili,
A wy do trumny ją położyli...

Przyszedłem z wieńcem sławy i dumny,
Jak orzeł kiedy leci ku niebu!
Ludzie mój wieniec dali do trumny,
I zanucili pieśni pogrzebu;
Jam ją chciał zbudzić — oni w tej chwili
Pierwszą garść ziemi na nią rzucili!...

Każdy po grudce rzucił do dołu,
Bo taki zwyczaj jest w świętej wierze,
I uklęknęli wszyscy pospołu,
I odmówili po trzy pacierze,
I nie wiedzieli gdy już powstali,
Że w jednym grobie — dwa serc chowali!...

12go Grudnia. *J. C. Z.*

NOWOŚCI LITERACKIE.

Spotkanie w Salzbrunn

opowiedziane przez J. Korzeniowskiego.

(Dokończenie).

Gdy wzruszenie brało górę, gdy serce zbyt głośno mówić zaczynało, wtedy szepnęła mi cicho, miękko, prawie na wpół z płaczem: »jedź pan już,« a ja posłuszny jak dziecko, odchodziłem, i gdym już był na kilkanaście kroków, obracała się, przesyłała mi zdaleka pożegnanie i nikła w zakręcie ulicy. Raz przybyłem w oznaczony dzień, wszedłem do ogrodu i zastałem ją siedzącą na ustronnej ławeczce, gdzieśmy się często spotyka-

*) Ernst, wracając z podróży artystycznej, narzeczoną swą zastał na katafalku i skomponował wtedy sławną Elegię. p. r.

li. Głowa jej była zwieszona, twarz blada, i w całem ułożeniu widać było smutek i głębokie zamyślenie. Gdym się zbliżył i usiadł, podniosła na mnie oczy, w których był ślad wyraźny, że długo płakała, i wpatrując się we mnie, jakby sobie niedowierzała, że ja jestem ten sam, że w twarzy mojej znajdzie wyraz tej samej miłości i poświęcenia, rzekła mi: „Wypchnęłam pana do Homburga i żałuję tego. Pan grasz, wiem o tem.” „Karolino! rzekłem biorąc jej rękę i tuląc do ust i do serca, nie oddalaj mię od siebie, a grać nie będę. Nie odpychaj mię od siebie, a przysięgam ci, że na jeden włos woli twojej nie przekroczę.“ Wtedy ona odjęła mi rękę i zawołala: „Nie nazywaj mię pan tak, nie mów tak do mnie, nie żądaj tego odemnie, na miłość Boską! miej litość nademną!” i zakrywszy oczy, rzewnie płakać zaczęła. Wzruszony, złamany tym widokiem i jej stanem, objąłem ją, przycisnąłem do siebie, ale zaledwiem dotknął ustami jej czoła, gdy odskoczyła, postała przez chwilę z daleka, jakby jeszcze napatrzyć się na mnie chciała, potem złożywszy ręce na piersiach, jakby mię w objęciu swem tuliła, rzekła: «Przyjedź jutro.” I poszła z wolna, pewna, że się nie ruszę z miejsca i ścigać jej nie będę. Powróciłem do domu uszczęśliwiony i pełen nadziei. Nazajutrz przyjechałem, poszedłem do ogrodu; nie było jej. Pobiegłem do jej mieszkania, wyjechała.

— Biedna! rzekłem, czując całą boleść tej walki, i całą wartość tego zwycięztwa jakie nad sobą odniosła.

— Zapewne! zawołał pan Władysław powstając i trąc czoło, musiało ją to wiele kosztować, musiała być biedną; ale ja byłem biedniejszym, i byłbym się podał rozpaczy, i jak szaleniec jaki byłbym się rzucił w tę złoconą otchłań, z której mię wyrwać chciała, a która jest przedsionkiem piekła, gdybym nie był wiedział, że musiała pojechać do Wrocławia, gdzie na nią mąż miał czekać. Na drugi dzień byłem już na kolei, a nie zastawszy jej nigdzie w Dreznie, gdzie sądziłem że odpocznie, przybyłem do Wrocławia. Pod *złotą gęsią*, główną kwaterą wędrujących Polaków, znalazłem ślad *Gutsbezitzera aus Pohlen* tego samego nazwiska. Domyśliłem się że to mąż. Dopytując się, dowiedziałem się, że i ona przybyła dwoma dniami przedemną.

Idąc po nici do kłębka, doszedłem wreszcie, że nazajutrz po jej przybyciu, o godzinie dwunastej powóz hotelu odwiózł ich oboje na Banhof Frejburski. Domyśliłem się, że nie gdzieindziej się udała jak do Salzbrun i przyleciałem tu za nią. Resztę pan wiesz, dodał szarpiąc wąsy i idąc ku galeryi. Teraz sądź pan i ją, i mnie, i tych rodziców, którzy takiego anioła związali z takim gburem nicociosanym, może tylko dla tego, że ma grunta pszenne, z tysiąc owiec w oborze, gorzelnię i karczmę na trakcie. Może to być najpoczciwszy człowiek, ale czyż to jest mąż dla takiej kobiety? czy mogę ją zostawić w takiem położeniu, choć odemnie ucieka, i czy mogę sam zostać w takim stanie, co mię zabija?

— A cóż pan zrobisz? rzekłem perswadując.

— Alboż ja wiem! odpowiedział ponuro i w twarzy jego był wyraz takiego bolu, że doprawdy żal mi się go zrobiło, i nie śmiałem wystąpić ani z perswazją, ani z morałem. Gdyśmy tak szli pospuszczawszy głowy, zbliżył się do nas znajomy mi brieftreger, który mi zawsze dwa razy na tydzień oddawał listy i za każdym razem dostając silbera, już zdaleka i z uśmiechem je pokazywał. I teraz miał list w ręku, i przystąpiwszy, zapytał, czy nie znam ja tego pana, do którego przyszedł tu list bez oznaczenia domu. *Es ist ein polnischer Nahme,* dodał z uśmiechem. Na adresie było: A Monsieur Ladislas S* à Salzbrun. Wszak to do pana, rzekłem oddając list mojemu towarzyszowi. Pan Władysław wziął go! spojrzał na adres, ręce mu zaczęły drzeć, zapłacił co prędzej Niemcowi, który odszedł, i rozerwawszy kopertę, zaczął czytać. Z początku oczy jego zaiskrzyły się radością, na twarz wystąpił rumieniec, później mienił się, bladł i gdy skończył, schował list z jakiemściś konwulsyjnem poruszeniem, wziął mię za rękę i cisnąc mocno, rzekł:

— Bądź pan zdrow! Jeżeli żyć będę, znajdę pana w Warszawie. Tymczasem dziękuję panu za to współczucie, któreś mi okazał.

I nie czekając mojej odpowiedzi, poszedł szybko ku hotelowi, gdzie się zatrzymał, a w pół godziny potem już go nie było w Salzbrun. Od kogo był list, z pewnością nie wiem, ale po złożeniu go i charakterze poznałem rękę kobiecą. Czy był od niej? Czy serce wzięło górę nad rozumem? czy przyjdzie zła chwila, która zniweczy dotychczasowy jej tryumf? Nie daj to Boże! Takie jest moje gorące życzenie, i zapewne życzenie tych wszystkich, którzy ten prosty i wierny opis walk i niebezpieczeństw młodej i pięknej kobiety czytać będą. Podaję go zaś, mutatis mutandis, do publicznej wiadomości, jako ostrzeżenie dla tych niebacznych mężów, którzy młode żony swe puszczają do wód same, bez opieki i kontroli. Zapewne, dla każdej kobiety najpewniejszą kontrolą są jej zasady, jej przekonanie, i ta jest najlepiej pilnowana, która się pilnuje sama; wszakże bezpieczniej jest wyperswadować podróż, lub nie dopuścić jej powagą męża, niż nie towarzyszyć młodej żonie, i narazić ją na ataki i pokusy, które mogą się odbić od jej serca, jak od skały, ale mogą też zachwiać ją w jej powinnościach, narazić na ciężką walkę, a może i przywieść do upadku i zepsuć pokój całego życia. Ponieważ grzechu tego, za który pokutują najwięcej sami, dopuszczają się najczęściej ci zawzięci gospodarze, którzy jak na złość w porze wód mają sianokosy, jarmarki wełniane, dalej żniwa i inne ważne zajęcia, któ-

rych odstąpić nie chcą; a właśnie w tej porze krytycznej młode żony ich najwięcej napierają się za granicę, postanowiłem więc ostrzeżenie to pomieścić w dziennikach które bezwątpienia prędzej i pewniej niż oddzielna książeczka, do rąk ich dójdą. Sądzę, że mi i mężowie ci podziękują, i żony, jeżeli się dobrze zastanowią, gniewać się nie będą.

Sprawa o opiekę

przed trybunałem lubelskim.

(Z pamiętników Ochockiego).

Przygotowała się w Lublinie wielka sprawa, na którą zdaleka cała poglądała z ciekawością Warszawa; toczyła się ona pomiędzy dwoma magnatami, księciem Michałem Radziwiłłem, wojewodą, i Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, o opiekę nad małoletnim księciem Dominikiem, jedynym spadkobiercą po księciu Karolu panie kochanku, wojewodzie Wileńskim.... Dwory, kuchnie i służba obu książąt wcześnie przyszły do Lublina, dla księcia Michała najęto pałac Czartoryskich, a dla Macieja Grotusowski, oba gmachy obszerne, z wielkiemi salami. Nadjechali oba pretendenci, książe Michał z żoną i synem Antonim, który później ożenił się z księżniczką pruską, otoczony asystencją przyjaciół poważną, księżna z dziesięcią pannami dobrego rodu z Litwy, między któremi pięknością szczególniej odznaczała się starościanka Moriconi; książe Maciej z wyrównywającym mu prawie dworem męzkim, a żona jego w towarzystwie ośmiu panien, w liczbie których panna Sylwestrowicz wyrównywała prawie pannie Moriconi.

Lublin przybrał postać tak świetną jakiej oddawna niepamiętano; oba pretendenci otworzyli domy i poczęli przyjmować. Raczyński plenipotent księcia Michała, kierował całą sprawą przez wpływy jakie posiadał; ten powiózł mnie tam i zaprezentował księciu; książe przyjąwszy bardzo grzecznie, przedstawił samej księżnie, i kazał być na obiedzie, a razem zaprosił raz na zawsze na wszystkie obiady i wieczory.

Wstawszy od stołu, podstąpiłem do księcia z prośbą czy mi pozwoli prezentować sobie przyjaciela mego, pana podkomorzyca Lipskiego, na co z uprzejmością odpowiedział, że rad będzie poznać syna, z dawna mając z ojcem jego znajomość. Korzystając z tego, pojechałem zaraz i w godzinę powróciłem z Lipskim; Skotnickiego stryj przedstawił.

Najprzód tedy zrobiono konferencją; było to zwyczajem wszystkich panów dla spraw przybywających, że na konferencje spraszali ile tylko było można mecenasów i młodzieży, dostałem i ja bilet, a Raczyński o Lipskim nie zapomniał.

Trzydziestu jeden mecenasów było wezwanych a do pięćdziesiąt młodzieży, narada trwała dość długo. Książe po niej mecenasom po sto czerwonych złotych ofiarował, a młodzieży po trzydzieści, ja nawet wziąłem sto, chociaż ani słówka w sprawie przy kratkach nie dostało mi się powiedzieć; Skotnicki piękny bardzo kocz i cztery konie anglezowane, trzysta zaś dukatów drugiego dnia, wszystko to *in vim* stryja, księdza Prezydenta trybunału.

Książe Maciej, którego interesem zajmował się pan Wereszczyński, dosyć mi przyjaźny, także konferencją zrobić musiał, zebrał na nią resztki mecenasów i deputatów; miałem i ja bilet, bo mi go Wereszczyński przysłać niezapomniał, ale że się znajdowałem u księcia Michała na naradzie, już tu być mi nie wypadało. Nazajutrz dopiero nasz przyjaciel, Deputat Jasiński, zawiózł mnie do księcia Macieja, i prezentował wraz z Lipskim; przeprosiłem księcia żem się na zawołanie nie stawił; byłem przez niego przedstawiony księżnie i zaproszony zaraz na obiady i wieczory.

Rywalizowano z obu stron żeby sobie nieustąpić, książe Maciej dał także po sto czerwonych złotych mecenasom, a po trzydzieści młodzieży; deputaci zlatywali się ze wszystkich województw, sprowadzani *ad hoc* przez obu książąt.

D. n.

Rozmaitość.

* Dowiadujemy się właśnie iż Pan **Biernacki** da koncert w teatrze we wtorek.

* W niedzielę 16go b. m. o godzinie 12tej w południe odbędzie się w sali ratuszowej posiedzenie ogólnego zgromadzenia członków towarzystwa wykształcenia muzyki w Galicji. Przy tem posiedzeniu odbędą się na podstawie nowo ułożonych ustaw towarzystwa, przyjętych w ogólnem zgromadzeniu, na dniu 9go b. m. odbytem, wybory dyrektora i stojącego na czele towarzystwa wydziału, składającego się z 16. osób, z 10. członków wspierających, z 6. członków czynnych.

Dyrekcja towarzystwa zaprasza zatem wszystkich członków tak czynnych, jako też wspierających, by się w wyżej oznaczonym dniu dla przedsięwzięcia wyborów zgromadzili, — dla wykazania się jednakowo jako członkowie towarzystwa w otrzymane od dyrekcji karty, mianujące ich członkami zaopatrzyli, lub do tego dnia zgłosili się o takowe w kancelarji towarzystwa pod Nrem 122 przy ulicy wyższej ormiańskiej na IIgiem piętrze.

* Towarzystwo do dostarczania taniej żywności i opału, zebrało już do 30.000 złr. m. k. Sprzedaż chleba i drzewa już się rozpoczęła. Stopa kubiczna drzewa kosztuje 10 kr. m. k. a 1¼ funta chleba żytnego 6 kr. m. k. Po wszystkich częściach miasta, jest pod dozorem grundamtów sprzedaż drobna urządzona. Towarzystwo to wywarło już wielki wpływ na ceny drzewa; toż samo spodziewać się należy, iż i na ceny pieczywa i wiktuałów korzystny wpływ wywrze.

Przyjechali od dnia 13. do 15. Grudnia do Lwowa.

Hr. Borkowski Alexander, z Krakowa. Złocki Wiktor, z Myczkowic. Mysłowski Józef, z Dźwiniacza. Morawski Konstanty, z Jaryczowa. Grzybowski Józef, z Krakowca. Łączyński Hipolit, z Liska. Wroblewski Wład., z Czortkowa.

PP. Leszczyński Jan, z Luczan. Hr. Skarbek Władysław, z Tarnopola. Wiśniewski Jan, z Kurowca. Eminowicz Kajetan, z Smerekowa. Dwernicki Józef, z Ilonowa. Bromirski Michał, z Rusina. Hr. Jabłonowski Stanisław, z Nastasowa. Hr. Jabłonowski Ludwik, z Nastasowa. Żurakowski Jan, z Zadurowa. Sosnowski Leon, z Zadwórza. Hr. Łoś Włodzimierz, z Narola. Lewicki Grzegórz, z Porszny. Brodzki Henryk, z Krakowa. Czajkowski Jan, z Bobrki.

PP. Horodyski Rudolf, z Krakowa. Cywiński Mieczysław, z Krakowa. Wiktor Tadeusz, z Krakowa. Pawłowski Antoni, z Pruss. Hr. Badeni Alexander, z Glinian. Gutowski Wład., z Stryja. Zaleski Cyryl, z Oleszyc. Obertyński Henryk, z Cieląża.

Wyjechali od dnia 13. do 15. Grudnia ze Lwowa.

PP. Torosiewicz Maurycy, do Ostrowa. Bąkowski Daniel, do Kamionki. Krzyżanowski Jan, do Kamionki. Czermiński Julian, do Glinisk. Rodkiewicz do Rawy. Hrabina Głogowska, do Krakowa. Bąkowski Kazimierz, do Olszanicy. Cywiński Andrzej, do Podhajczyk. Hr. Pallfy, do Tarnowa.

PP. Piller Piotr, do Janowa. Papara Szczęsny, do Potoka. Łączyński Hipolit, do Liska. Błażowski Krzysztof, do Jazłowca. Tchorznicki, do Krakowa. Kownacki do Mikołajowa. Hr. Siemiński, do Jarosławia.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	110	Pożyczka 5%	$74\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$80\frac{1}{2}$	Akcye banku	919
Londyn za 1 funt szterl.,	10.46	Kolej północna	$2029\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$109\frac{3}{4}$	Obl. ind.	70
Paryż za 300 franków .	$128\frac{1}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$97\frac{1}{4}$
Agio duk. ces.	$14\frac{1}{4}$	Pozyczka narodowa . .	$77\frac{9}{14}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	8	złr.	5	kr	10
Dukat cesarski	„	5	„	12	„	5	„	14
Półimperyał zł. rosyjski	„	8	„	54	„	8	„	58
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	41	„	1	„	42
Talar pruski	„	1	„	37	„	1	„	39
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	11	„	1	„	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	88	„	36	„	89	„	5
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		67	„	45	„	68	„	15
5 proc. pożyczka narodowa		77	„	5	„	78	„	—

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 149 z roku 1855.

Do sprzedania

z wolnej ręki dobra **Wola Szczucińska** położone w obwodzie Tarnowskim, przy głównym trakcie Nadwiślańskim — Mielecko - Szczucińskim. Te dobra składają się z dwu folwarków:

1. Folwark **Wola Szczucińska** na prawym brzegu Wisły zawiera według pomiaru katastralnego gruntów dominikalnych ogółem morgów 601, w tej liczbie pól ornych w glebie pierwszej jakości morgów 498 — łąk morgów 13 — pastwisk i kęp chrustami zarosłych morgów 63 — karczma przy trakcie, budynki porządne.

2. Folwarczek **Kółko** na przeciwległym lewym brzegu Wisły w Królestwie polskiem, zawiera przeszło 70 morgów ziemi ornej — i przeszło 100 morgów kęp chrustami zarosłych.

Bliższą wiadomość udziela: na gruncie Wny Bonawentura Rydel — we Lwowie Wny Alexander Sękowski, przy ulicy nowej Nr. 284 m. (244 1)

Nowości z nakładu Ludwika Merzbacha w Poznaniu, we Lwowie w zapasie w księgarnich:
H. W. Kallenbacha, J. Milikowskiego, Pillera i spółki i Karola Wilda:

Wieczorne rozrywki
przy
Kominku,

z 3ma stalorytami i 23ma drzeworytami.

Cena 1 ztr. 20 kr. m. k.

Światowid.

Zbiór rozpraw ku upowszechnieniu pożytecznych wiadomości.

Z objaśniającemi rycinami

Tom I.

O wynalazku balonów

z 23 drzeworytami.

Cena 30 kr. m. k. (245—1)

Ostrzeżenie.

Ponieważ domokrążstwo **Herbatą chińską** zaczyna się znowu wzmagać, a co najlepsza, iż we Lwowie pewna żydówka roznosząca takowąż po domach, udaje kłamliwie, iż jest moją pokrewną, a herbata pochodzi z mego handlu w Brodach, przeto oświadczam niniejszym, że ja herbatę do roznoszenia dla sprzedarzy nie wydaję nikomu i pod żadnym pretextem; — co niechaj posłuży za ostrzeżenie, że domokrążca pokrywający lichę herbatę moją firmą, jest oszustem, a każda osoba kupująca takową, wystawia się na stratę. Z mego handlu pochodząca herbata jest oznaczoną na pakietach moją pieczęcią, wszelkie przeto listowne zamówienia uskuteczniam z jak najsumienniejszą dokładnością, ręcząc oraz za każdy jej gatunek.

Benjamin Zahler,
kupiec Brodzki.

(246 1—3)

W księgarni
H. W. Kallenbacha
dostać można

Biusty stearynowe:

Mićkiewicza, Lelewela, Kościuszki i Poniatowskiego.

Cena po 1 ztr. 36 kr. m. k.

J. SMUTNY

poleca swój
Skład wiedeńskich
FORTEPIANÓW

znajdujący się w domu **P. Weigla** przy placu św. Ducha pod Nr. 43 naprzeciw kościoła Jezuickiego i c. k. strażnicy
we Lwowie;
w tymże można każdego czasu wielki wybór najnowszych przez najsławniejszych fortepianistów wiedeńskich gustownie konstruowanych fortepianów mieć, a ponieważ za dobroć i trwałość tych instrumentów ręczy, pociesza się tą przyjemną nadzieją, że jak dotąd tak i nadal łaskawe względy szanownej publiczności uzyska i liczny odbyt sobie zjedna.

Przyjmuje on także fortepiany w zamian. (239 2—4)